

**Leszek Sarnowski**

## **Sztumska droga do wolności**

Wstęp

Kiedy inni świętowali niepodległość w 1918 roku polscy mieszkańcy ziemi sztumskiej musieli jeszcze, po przegranych plebiscytach, na swoją wolność czekać. I czekali w swoich domach, ziemiańskich dworach, szkołach, ochronkach i stowarzyszeniach, pielęgnując wytrwale swój codzienny i odświętny patriotyzm. W 1945 roku wolna Polska rodziła się tu w bólach. Przyniesiona na sowieckich czołgach i bagnietach miała zapach krwi, spirytusu, gwałtu i pożogi. Ale Polacy w Sztumie, ze spaloną przez „wyzwolicieli” ze Wschodu starówką, choć w czerwonych barwach, w końcu się doczekali Polski. Nie wszystkim było to dane. Ich miejsce na ziemi nazwano ziemiami odzyskanymi. Nowi przybysze trafiali tu z różnych stron. Niektórzy ukrywali swoją wojenną przeszłość, często z różnych powodów niewygodną, dla siebie lub nowych władców. Przyjeżdżali z wyboru własnego lub z wyboru historii. Dla wielu miał to być przystanek w drodze dalej. Większość zostawała. Ukrywający się akowiec, były więzień Stutthofu, szabrownik z centralnej Polski, wilniuk, przedwojenny komunista, obszarnik spod Lwowa, łemkowski włościanin czy mazowiecki proletariusz.

Powoli wrastali w ponemieckie otoczenie. Wyjeżdżali za to przedwojenni „miejscowi” – do Niemiec lub jeszcze dalej. Ci „tutejsi”, którzy zostawali, z językiem polskim brzmiącym z niemiecka, na nowo się adaptowali, w ponownie obcym sobie otoczeniu. Wszyscy, mniej lub bardziej zgodnie, zaczęli układać swoje nowe życie w cieniu nieczynnej ewangelickiej świątyni, w miejscu po spalonej synagodze i ginącym kirkucie, w pobliżu kościoła Świętej Anny, więziennych murów i popadającej w ruinę krzyżackiej warowni. Rodziło się „nowe”.

„Sztumska droga do wolności” to nie mogła być książka historyczna, a przynajmniej nie wyłącznie historyczna. Oprócz obiektywnych treści wynikających z analizy źródeł, dokumentów i publikacji, zawiera bowiem zbyt dużo wątków osobistych, a zatem subiektywnych. Mówiąc językiem profesora z filmu „Rejs”, jest tu i „twórca i tworzywo”. Autor jako jednocześnie uczestnik części wydarzeń, mimo usilnych starań, nie będzie niestety najbardziej wiarygodnym narratorem.

Dlatego też książka nie rości sobie pretensji do głoszenia jedynie słusznej prawdy. To zaledwie próba zbliżenia się do prawdy. To szkice historyczne z najnowszych dziejów ziemi sztumskiej, ze szczególnym uwzględnieniem działań mających na celu wolność i samorządność.

Cezura czasowa książki to okres od 1945 roku (partyzantka antykomunistyczna), przez czasy zrywu wolnościowego pod szyldem „Solidarności”, do lat 1990-1994, czyli tworzenia się podstaw sztumskiej samorządności.

Książka zaczyna się od trudnych lat powojennych, kiedy na ziemi sztumskiej inicjatywę tworzenia nowej rzeczywistości podjęła władz komunistyczna, wspierana bagnietami Armii Czerwonej. Wtedy to walkę z „wyzwolicielami” podjęła garstka ludzi z antykomunistycznej partyzantki, żołnierze Armii Krajowej pod dowództwem majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Wielu spośród nich, a także wspierających ich mieszkańców ziemi sztumskiej, doświadczyło represji z tego powodu. To były pierwsze ofiary walki o wolność. To właśnie ze Sztumu w swoją ostatnią drogę wyruszyła sanitariuszka Danuta Siedzikówna „Inka”. Zbrojne ramię nowej władzy z Urzędu Bezpieczeństwa, zadbało, by żołnierze niepodległości, tacy właśnie jak „Inka”, „Łupaszko”, „Żelazny” czy „Jastrząb”, w oczach miejscowych stali się „reakcyjnymi bandytami”. Niektórzy, jak „Żelazny”, właśnie tu zakończyli swoją drogę do wolnej Polski. Mieli być wyklęci i zapomniani, bo nie im, a ich prześladowcom, stawiano pomniki, nazywano ich imieniem ulice i organizowano okolicznościowe akademie ku czci. Jednak przetrwali, choć nie dla wszystkich są do dziś bohaterami.

Pominięto w książce okres lat 50-60. Lata pięćdziesiąte były czasem totalnego zniewolenia, są pozbawione spektakularnych działań wolnościowych. Noc stalinowską najbardziej

pamiętają milczące więzienne katakumby. Ludzie chcą zapomnieć. O swym zniewoleniu, prześladowcach z miejscowej komendy UB czy sąsiadach-donosicielach. Jak wszędzie chcą spokoju. Być może i niepamięci. Bo pamięć nie jest towarem zbyt cenionym. Dla wielu niewygodnym, bolesnym. Z codziennością przychodziło się tu mierzyć, jak w innych częściach kraju na każdym z historycznych zakrętów. W latach sześćdziesiątych Wiesław Gomułka, ortodoksyjny i ideowy komunista, dał Polakom małą stabilizację. Era Edwarda Gierka dawała pozory blichtru prosto z wymarzonego Zachodu. W zamian za „Pomożecie”, po krótkotrwałym i względnym dobrobycie, pojawiły się nie tylko kartki na cukier, ale przede wszystkim igrzyska, wyreżyserowane i skrupulatnie zaprogramowane przez rządowe media. Miało być kolorowo i radośnie. I tak w Sztumie bywało. O spłacaniu hipoteki nikt wtedy nie wiedział i nie myślał.

Sztum leży na uboczu ruchliwych traktów i wielkiej polityki. Polski Październik, Marzec czy Grudzień odbijały się tu niewielkim echem, najczęściej w rodzinnych wspomnieniach, bo nie w partyjnych gazetach czy głośnych rozmowach na targowisku. To w dalszym ciągu ciekawy materiał do historycznych badań. Tym bardziej, że książka nie rości sobie pretensji do całościowego ujęcia okresu powojennego, a jedynie usiłuje pokazać działania wolnościowe; czasem spektakularne a najczęściej żmudne wysiłki służące budowaniu owej wolności. Najważniejszym etapem walki o wolność dla mojego pokolenia był rok 1980. Na temat buntu „Solidarności” na poziomie ogólnopolskim napisano już niemal wszystko, od tekstów apologetycznych, po krytyczne i destrukcyjne. Nadal jednak nie ma zbyt wielu publikacji o historii ruchu na poziomie lokalnym. Dla historii „Solidarności” województwa elbląskiego niezastąpionym źródłem wiedzy są książki dr Karola Nawrockiego, oparte o źródła archiwalne i wspomnienia uczestników wydarzeń. Mam nadzieję, że zebrane w tej książce informacje przysłużą się do stworzenia pełniejszego obrazu tych ważnych dla naszego kraju, gminy, regionu, wydarzeń. 1980 roku nie było tu spektakularnych akcji strajkowych i protestów, raczej „solidarnościowe” akcje i gesty wsparcia. Nie bez przyczyny zaczęło się w miejscowych filiach gdańskich zakładów, bo one miały kontakt z Trójmiastem i było im łatwiej. Na prowincji zawsze jest trudniej. Trzeba było mieć wyjątkowy hart ducha, żeby się odważyć. Studiowałem wtedy historię na Uniwersytecie Gdańskim i dla mnie, podobnie jak dla moich kolegów, nie było sprawą wielkiej odwagi, być przeciw. Byliśmy razem, w grupie ludzi, podobnie myślących. Ludziom, którzy odważyli się podjąć hasła „Solidarności” na szczeblu lokalnym, właśnie w Sztumie, Malborku czy Kwidzynie, było znacznie trudniej. Był strach, obawa, niepewność, a często i brak wiary, wynikający z dotychczasowego doświadczenia. A do tego dochodziły jeszcze lokalno-gminne uwikłania towarzysko-rodzinne czy polityczne. My studenci byliśmy wtedy razem. Oni, w swoich małych miasteczkach, musieli się tego nauczyć, nie tylko na imieninach, balach karnawałowych, majówkach czy oficjalnych akademiach ku czci, ale na co dzień, w budowaniu nowej rzeczywistości. Niektórzy, chcąc działać, zapisywali się nawet do PZPR, partii, która na aktywność, choć pod nadzorem, była otwarta.

Tym małomiasteczkowym liderom stać się bohaterami było dużo trudniej. Tym bardziej trzeba o nich mówić, pisać i pamiętać, nie tylko na podstawie archiwów Instytutu Pamięci Narodowej. Wystarczy ta zwykła, ludzka i sąsiedzka pamięć. To oni tworzyli, lepiej lub gorzej, podwaliny nowej Rzeczypospolitej, czy tej wymarzonej, to się miało okazać później. Nie trzeba im dziś stawiać pomników, czy pomnażać szeregów kombatantów, bo na takich na pewno się nie nadają a przez swoją skromność stać się nimi pewnie by nie chcieli. Wystarczy zatem pamięć. Wyjątkowym źródłem dla tego okresu jest „Solidarność Sztumska”. W założeniu był to związkowy biuletyn, w rzeczywistości unikatowa, nie tylko na skalę regionu, pierwsza, niezależna gazeta lokalna, która na tle partyjnej nowomowy oficjalnej prasy, także dziś jawi się jako olbrzymie źródło wiedzy o epoce i trybuna wolnego słowa. To dzięki takim

ludziom jak Waław Bielecki, Mirosław Melerski, Krystyna Muszyńska, Józef Tymiec, Marian Szarmach, Jerzy Wesołowski i wielu innych mamy dziś wolność słowa.

Kolejny rozdział książki to rok 1989. Bolesny dla wielu „zgniły” kompromis z komunistami i czas „reglamentowanej rewolucji” (według słów prof. Antoniego Dudka), ale też budząca się nadzieja, po destrukcji stanu wojennego. To fragment najmniej obiektywny w książce, bo osobisty, choć oparty nie tylko na wspomnieniach, ale i osób postronnych, informacjach prasowych i dokumentach. To także trudny czas początku podziału „solidarnościowych” elit politycznych na poziomie ogólnopolskim i lokalnym, choć tu w Sztumie nastąpiło to nieco później.

Ostatni rozdział książki to czas budowy lokalnej samorządności. Rok 1990, czyli ustawa o samorządzie lokalnym, pierwsze demokratyczne wybory samorządowe, powstanie prasy lokalnej. Emocje kampanii wyborczej, budowy lokalnej elity i tworzenia podstaw lokalnej samodzielności. W pracy wykorzystano wiele źródeł historycznych: archiwa PZPR, sztumskiej „Solidarności”, a właściwie tego, co z nich udało się uratować po stanie wojennym, wspomnienia mieszkańców, informacje prasowe, prace uczniów przygotowywane na konkursy organizowane przez gdański oddział IPN, a także bogate materiały prasowe, wspomnienia.

Bardzo dziękuję wszystkim za wsparcie podczas pracy nad książką. Żonie za cierpliwość i wyrozumiałość. Waławowi Bieleckiemu, Mirosławowi Melerskiemu i Andrzejowi Lubińskiemu za uwagi, a tym, którzy dzielili się wspomnieniami za poświęcony czas i zaufanie.

\*\*\*

Sztum to moje miejsce na ziemi od ponad trzydziestu lat. Z miastem tym wiążą się najmiłsze chwile w moim życiu. Stąd pochodzi moja żona. Tu urodziła się nasza córka. Tu mamy stary, poniemiecki dom, z orzechem, starą gruszą, jabłonią w ogrodzie. Dom z duszą. Tu podjąłem swoją pierwszą pracę nauczyciela historii. Piękne czasy. Radość tworzenia rodziny, radość nauczania i uczestnictwo w budowaniu wspólnoty obywatelskiej. To moje miasto. Z bogatą przeszłością pogranicza, ze skomplikowaną historią ziem odzyskanych. Moi przodkowie mieszkali od stuleci na Kujawach. Tam było prościej. Większość moich sąsiadów w Sztumie, którzy nie zawsze trafili tu z własnej woli, mieszka tu kilkadziesiąt lat dłużej ode mnie. Dla wielu odkrywanie i przypominanie najnowszej historii może być trudne. Może wielu chciałoby mieć ją już za sobą lub pozostawić w niepamięci. Z historią jednak trzeba się mierzyć, stanąć w prawdzie, nawet najboleśniejszej, by nikt nigdy nie wykorzystał jej przeciw nam.

W takim miejscu jak Sztum rewolucje się nie zdarzają. Niezmiennie jest tu i stabilnie od stuleci. Ludzie spokojni, spolegliwi i dość łagodni, pogodzeni najczęściej z tym, co los im przynosi co dnia i gdzie ich rzucił. Czasem złośliwi, zawistni, wścibscy, nietolerancyjni, nieufni. Tacy sami jak wszędzie. Wszyscy tu niemal wszystko, o wszystkich wiedzą. Tak było i jest. Trzeba nauczyć się z tym żyć. Kto się nie nauczył albo żyje zgorzkniały, albo ucieka jak najdalej. Ja zostałem. Uczę się Sztumu każdego dnia.

Stefan Chwin na początku 2017 roku w „Tygodniku Powszechnym”, w artykule „Kultura kompleksu niższości” pisał: *Jestem dumny z Polski, która umiała stworzyć „Solidarność”, ale także z Polski, która w 1989 roku potrafiła rozumnie powstrzymać się od mordowania pokonanych komunistów, tak jak ich mordowano w Rumunii. Jestem dumny z Polski, która zdecydowała się wejść do Unii Europejskiej... Jestem, dumny z Polski, która nie chowa pod dywan trudnych faktów ze swej historii, tylko mówi o nich swobodnie, bez kompleksów. Która ceni wielość punktów widzenia i nie narzuca nikomu swej prawdy.*

Podzielam dumę Pana Profesora z Polski i mam nadzieję, że duma ta przekładać się będzie także na poziom lokalnej historii. Aby docenić naszą małą ojczyznę musimy ją lepiej poznać, opisać jej historię, żeby nie została zapomniana. Moja książka nie ocenia, nie oskarża, nie

deprecjonuje. Pokazuje fragment naszej trudnej historii, w którą każdy z nas, na swój sposób był lub jest uwikłany.